

16.08.79 r.

21.38 – I kto by pomyślał, że gdyby nie pośledniejszego gatunku mądrość jakiegoś skurwysyna, nie zobaczyłabym Ameryki. Żyję, strzelam w mordę stakana, wiesz, znaczy: zobaczę Amerykę

17.08.79 r.

0.12 – Minęło sześć dni. Siedzę, jem chleb z masłem, popijam herbatą i patrzę, właściwie gdzie?, nie wiem. Dwa tapczany rozesłane, odsunięty stół, odstawione krzesła, trzy szklanki na stole, półmrok, ja sama, bardzo już senna

18.08.79 r.

9.42 – Jakie złoto droższe: pluty czy paradoksu, głupca czy mędrca?

10.22 – Iza ostrzy nóż. Siedzę, myślę o tym, że Iza ostrzy nóż, i co z tego?

12.55 – Stoję, patrzę bezmyślnie w cebulę

13.32 – Stoję w tym samym miejscu, taka różnica, że patrzę w pokrojone jabłka

20.08.79 r.

11.50 – Abramowice. Boże, jak tu zwyczajnie, cholernie zwyczajnie. Siedzę na ławce, zielono, słońce, idzie mężczyzna w szlafroku, za plecami kroki, chrzęst żwiru, piszę, bokiem leci helikopter, piszę i kontroluję siebie do bólu, mam świadomość, że nie, nie jestem wariatką, ale wiem: gdy wyjdę za bramę, poczuję ciepły asfalt i to, że do tego świata też nie należę. Chciałabym już ustalić, znaleźć swoją ławkę w cieniu otumanionego drzewa, zostać na niej i zaczekać, aż zabiorą. Mężczyzna niechlujnie ubrany idzie chodnikiem, robi energiczny zwrot, znów idzie, zachnął się, obrót i z powrotem, nagle zwolnił, podrapał się w głowę, jakby czegoś zapomniał lub coś sobie przypomniał, wrócił, idzie energicznym krokiem, śpieszy się, staje, wraca, przyśpiesza, ręce splecione z tyłu, na czole zamyślenie, wygląda jak architekt pracujący nad projektem domu, wtem staje, wysuwa do przodu lewą nogę i patrzy na stary budynek, lustruje go wzrokiem, zmienia nogę, znów mierzy, zakłada ręce i idzie, zdawałoby się już wszystko, nie, staje, wraca...

Jednak nie każda rzecz ma swój koniec. Chciałabym zmądrzeć lub zgłupieć, być wariatką to przecież nie ubliża. Idzie jakaś zniszczona kobieta, może alkoholiczka, śpieszy się, śmieje i mówi do siebie: narozrabiały

jak pijane zajaczki, a ja muszę za nie... Spojrzała na mnie, nic, śmieje się dalej... nie rozumiem

Starsza, sztywna kobieta idzie chodnikiem, patrzy tylko pod nogi, mijając mnie, usilnie chce zobaczyć, co piszę. Cisza, gdzieś w oddali słychać puchacza, wokół kroki, chłodno, nie chce się żyć. „Panie, tam nie wolno”. Zrozumiał, zawrócił. Prowadzą dziewczynę w kaftanie bezpieczeństwa, idzie równo, patrzy pod nogi, w bok, wygląda na osobę zrównoważoną. Po co włożyli jej ten kaftan? Za kilka minut pójdzie do toalety, zsunie majtki, wysika, z powrotem wciągnie spodnie i zapnie guzik. Dlaczego ją prowadzą, czy ona wie o tym?

Ci ludzie wydają się fizycznie ułomni, nie rozmawiają, nie śmieją się, nie piszą, ot, chociażby jak ja, tylko stoją pojedynczo lub grupkami i patrzą, patrzą, chodzą jakoś nie tak, albo za prędko, albo za wolno, bokiem czy jakoś sztywno, to jakby rozpacz odczuwać jak ból fizyczny w tyle głowy

Abramowicka kawiarnia, sklepik, kwiaty, bloki mieszkalne, sznury z bielizną, rosną grusze, jarzębiny, skoszona trawa pachnie dzieciństwem... Wchodzę na oddział, zaglądam do jednej z sal, patrzę, nie, chyba jednak jestem normalna. Schodzę na dół, pani w białym kitlu pyta: „A pani do kogo?”. „Tak sobie”. „Tutaj nie wolno!”. Chce mi się śmiać, śmieję się do siebie, wychodzę z budynku, śmieję się, siedzą jacyś na ławce, pewnie myślą: nowa

Rzeczywiście nareszcie nie chodzą parami, nie obejmują, nie całują i co najważniejsze, nie śmieją. Dlaczego oni są tacy poważni? Przecież życie to jeden paradoks

Zupełnie tak samo chłopcy rozbijają się na rowerach i jabłka zbijane lecą ukosem ku ziemi... Jakie dziwne uczucie – lęk przed człowiekiem, który idzie z tyłu, skoczy nie skoczy?

21.30 – Jest noc, ciemno, chłodny wiatr, ławka, latarnia, kałuże, chłód, przejmujący chłód i przejmująca myśl, jeśli w Abramowicach czuję się obca, a za bramą idą ludzie, którzy mnie nie rozumieją, moje miejsce może być równie dobrze na x oddziale albo nigdzie. Muszę, muszę znaleźć swoje miejsce

Siedzę, piszę, ławka nie skrzypi, latarnia nie kołysze, żwir nie chrzęści, tylko jakiś sen się kruszy... Już jestem spokojna, nawet bardzo spokojna, taka cisza i światła w oknach, garnki, dzieciaki, ramienne kłótnie i świeże, mocne powietrze, Boże, czy oni nie myślą? Założmy, bo gdyby myśleli, pocieraliby ściany, ogryzli korę z drzew. Siedzę, myślę, niczego mi nie brak – więc to już dwadzieścia lat, ani roku mniej i wciąż jeden głupi sen, i łyż z tej samej obrośniętej beczki. Postaram się dostać do psychiatry, chcę, bardzo chcę zostać w Abramowicach na dłużej (miesiąc lub więcej, czy można na zawsze?). Skoro ten świat za bramą nie leczy, można spróbować... Wiesz, myślę, że jak w normalnym szpitalu, przychodzi człowiek zdrowy i po jakimś czasie coś wykrywają, na coś zapada, czuje osłabienie. Założmy że po miesiącu będę podobniejsza do nieruchomych kobiet w niechlujnych szlafrokach, a po dwóch, trzech miesiącach przyjmą do siebie, powiedzą: to z naszego oddziału; nie wyprę się, dlaczego?

rzeczywiście jestem z tego oddziału, a ta kobieta leży naprzeciwko mnie. Tydzień, dwa, trzy tygodnie, ale nie dłużej, będę ubierała swoje ciuchy, potem pasiaki, skośny chód i jakby sztywne lewe ramię, przecież nie będę całkiem normalna, dajmy na to, po miesięcznej kuracji psychotropowej. A gdy już zapomnę uczesać, pomaluję usta, przewiążę w pasie pomarańczową szarfę i pośpieszę szukać pijanych zajęczków, zaraz, zaraz, i zapamiętam łóżko, oddział, dwie zgrzebne kobiety po sąsiedzku, wtedy już będę tam, gdzie głupi Bóg nie zasiał, a gdzie powinnam wzejść. Jeśli nie uda się drogą ugody, spróbuję inaczej, postaram pozostać na terenie szpitala do nocy i poprosić o spanie, bo już późno, nie mam dokąd wracać, nikt nie czeka, tylko łóżko: siennik i sprężyny albo chociaż jakąś kryszkę nad głowę, a już wtedy byle raz, potem drugi i trzeci i może uda się zostać. Zresztą nie wiem, może jakiś numer, krzyk na krzyk, na latanie rąk i w kaftanie... Chcę, muszę tam zostać, słyszysz, muszę. Latarnia, drzewa, kałuża i głowa oparta o mur... Wiesz, o czym marzę? Zakryj kartkę i pomyśl, nie zgadniesz, zaręczam ci, nie zgadniesz, ale spróbuj... Marzę o tym, żeby latarnia spadła do kałuży i żeby podjechali na sygnale pod blok, tuż pod filary, i wyskoczyli w białych kitlach, zarzucili coś szorstkiego i białego, i wprowadzili do wozu, potem siadłaby przy mnie taka biała osoba, i czuwałaby nad moim przymusowym spokojem... postarałabym się do niej uśmiechnąć. No przyznaj, nie zgadłeś, dwa punkty... nie, nie punkty się liczą, ale szczerść...

22.08.79 r.

10.10 – Abramowice, siedzę na tej samej ławce, bez dwóch szczebli, a jeden w dwóch miejscach złamany. Dziwne, prawie każdy wariat, przechodząc koło ławki, musi poruszyć szczeblem, zobaczyć, może da się naprawić, nie wiem, ale wygląda, jakby coś było w tym złamanym szczeblu, tylko co? Tak bym chciała wiedzieć co. Już myślałam, żeby spytać kogoś z nich, ale nagle wydało mi się, że oni nawet nie wiedzą, że poruszają szczeblem, tak, teraz już wiem: oni na pewno nie wiedzą

Siedział obok młody chłopak, teraz idzie i śmieje się, już go nie widać za drzewami. Zanim usiadł, poruszył szczebel. Siadł, schował głowę w wypukłych dłoniach... kilka razy gwałtownie głowę podnosił i patrzył na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie, nie teraz. Po kilkunastu minutach spojrział, śmieje się chociaż przed chwilą wyglądał na bardzo smutnego, bezradnego. Może coś sobie przypomniał, wstał, chodzi w tę i z powrotem przed starym budynkiem, obrośniętym dzikim winem, jest bardzo ładny, nie, piękny, czarny, wysoki, nieuczesany, w rozchełstanej piżamie, w spodniach podwiązanych troczkiem, na nogach zwyczajne męskie ciemnobrązowe sandały, ciekawe jaki numer? na obnażonej piersi z daleka błyszczą jakaś blaszka, ma ładne, długie palce...

Jedzie żuk „Zaopatrzenie” – nie tak powinny wyglądać Abramowice. Wiesz, wariaci często patrzą w oczy bez żadnego zażenowania, czy oni wiedzą o tym?

Znów ten chłopak, zrzuca górną część piżamy, kładzie się na niej zwinięty w kłębek, kilka razy porusza, niewygodnie, podnosi, przesuwa metr dalej, leży...

Zielona trawa, niewysoka (znów mężczyzna w pasiakach poruszył szczeblem), żółty mlecz, granatowe drzewa. Obok na ławce siedzą dwaj mężczyźni, rozmawiają, jeden do drugiego odwrócony plecami, patrzy mi w oczy i mówi do tamtego, odpowiada, pyta – trawa jest na pewno zielona...

Chłopak leży, trawa jest niewysoka... tutaj czas się nie liczy. Są takie, co palą pety, i tacy, co widzą to. Siedzę, opalam się...

12.41 – Jednak mnie czas dotyczy. Po obiedzie wyszedł z budynku ten sam chłopak, ładniejszy i jakby smutniejszy, żal mi go. Idzie, zbliża się powolutku, ma czerwone usta, tragiczny, nieuczesany, jeszcze nieszczęśliwszy w podpalonym granacie... wchodzi na schody, znika w drzwiach. Jakiś dziadek siadł na drugim końcu ławki, poruszył szczeblem i mówi: „Ktoś złamał go”. Albo sam się złamał. Poszedł. Idzie ten chłopak, pali papierosa, umie palić, wrócił, nie doszedł do ławki, dlaczego?

Idzie mały mężczyzna w drelichach, kurtka zsunięta z lewego ramienia, ręce splecione na głowie... Tutaj nikt się nie śmieje. Tak, więc nie przyjął mnie psychiatra, a przecież miałam skierowanie, co będzie dalej?

Chodzą, chodzą, jeszcze raz chodzą, siedzą, leżą, podpierają – nikt się nimi nie interesuje – patrzą w oczy, nie wiedzą, co to bezczelność

„Zenek, nie kładź się na gołej ziemi”. Wstał, aha, ma na imię Zenek, nieduże stopy i długie palce

Jakaś kobieta porusza szczeblem, dopasowuje, dlaczego oni wszystko chcą naprawiać?

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i przez nas, i przez komunistów”. Czy aby na serio? Zaraz, chwileczkę, pisałam, że ten chłopak, prawda, Zenek, miał na nogach sandały, skądże, drewniaki na pasku

Idzie Zenek, nieuczesany, umyty, skupiony, myślę że słyszy jak ziemia oddycha. „Kto ławkę zepsuł?”. Boże, skąd tyle zainteresowania? Cisza, jeśli teraz nie zwariuję, będę jeszcze grała w klasy. Znów idzie ten chłopak, nie mogę oprzeć się myśli, ktoś musiał go skrzywdzić, idzie nie tak, podnosi nogi z wysiłkiem, głowa spuszczone, duże, ładne usta – ciekawe, czy ktoś mu to mówił?

16.10 – Nic nie jadłam do tej pory, nie licząc rano zupy mlecznej i na obiad gruszek. Chce mi się jeść, ale to nic

Oni chodzą, jakby dźwigali mnóstwo spraw na głowie, jakby ktoś na nich czekał – na czas, w porę – spieszą, nie mają żadnych spraw, bladzi, włosy spocone, oczy im błyszczą... są chorzy. Boże! a ten mały mężczyzna w drelichach chodzi od samego rana, wierzysz mi? chodzi w tę i z powrotem na przestrzeni może pięciu metrów kwadratowych, spytaj go, czy się nie zmęczył

Znów idzie Zenek, myśli, a może tylko mi się zdaje? Jakaś pani z koszykiem, trochę za gruba, ciekawe, co niesie. Chce się płakać, smutno, groszek nadal czerwony, koń klaszcze kopytem



17.30 – Jestem w Abramowicach, a trawa wciąż niewysoka, dzień coraz niższy, ot, już się pochylił. Idzie ta sama kobieta, odsapnęła – w koszyku jaja, szary chodnik, brudno, leżą zapaliki. „Władek, kolacja”. „Już kolacja?”. „My już po kolacji, szybko, śpiesz się, śpiesz”. Kolacja, co z tego? groszek czerwony, na pewno czerwony, idzie Zenek, co by było, gdybym powiedziała mu, że idzie?

„Ty lepiej oddaj mi rower”. „Ja? Wybacz, ale nie prowadzę”. O czym oni mówią? aha, o rowerze, śmieszne

Dlaczego ten dziadek podpiera się laską, pewnie musi, kto mu powiedział, że musi? Pewnie idiota. Jakiś człowiek, stąd, przechodząc obok ławki, pochylił się i nagle pocałował mnie w ramię. Długopis, mówisz, że to jest broń, ale przed czym?... Może przed komarami? Znow ten chłopak, uczesany, jeszcze ładniejszy, pasiaki coraz ciemniejsze, granat też kolor...

Siedzą obok dwaj chłopcy, cicho, krzyczy puchacz, chrzęści żwir, rzucona pusta torebka po papierosach. „A co?”. „Nic, intymna sprawa”

Ten chłopak, to na pewno jego matka, objęła go, schowali się za drzewem, on wraca, ona poszła w stronę bramy, stanęła, patrzy, on idzie, pali, ona patrzy, on idzie ale nie wie, że idzie, matka wyszła za bramę, żelazne pręty, czas, przestrzeń, stoi, patrzy, Zenek idzie powoli, bardzo powoli, pali, matka, starsza kobieta, na pewno go kocha, patrzy, pręty na twarzy, to musi boleć, skręcił, nie widzi go już, wychyla się, tylko spoza czego? sama nie wiem, nie obejrzał się, matka... żeby jeszcze była trochę większa, ale nie, matka... malutka, na pewno

matka, pręty w poprzek twarzy, o, teraz wzdłuż, tak, dobrze... nie obejrzał się, jestem pewna, to była matka

Przeszedł prędko, poważnie, młody jeszcze człowiek w białym kitlu, powiedział: „Pani zanotuje i mnie”. „A czy pan jest aż tak interesujący?”. „Nie, ale dlatego, że nie... właśnie”. „Ciekawe”

„Pachnie”. „Yhy”. „Naprawdę pachnie”. „Wierzę ci”. „Ta pani jest uczona”. „Nie, jakby to powiedzieć... nie, ale... daj mi się wysławić... zakochana... znaczy, chciałem powiedzieć co innego”

Jak te ptaki krzyczą, marzę o tym samym, sygnał karetki i tak zagłuszyłby... Ludzie mówią, że chcieliby jak najlepiej, zostać, chcę tu zostać, powinnam zostać... żeby chociaż ktoś mi pomógł... Ptaki krzyczą, 19.30, przeszedł pan, około trzydziestki, czysto, porządnie ubrany, głowa przekrzywiona, lekko sztywne ramię, skrzywiona twarz, żona przy bramie, to nic innego jak ból fizyczny... zmierzch, cisza...

„A, to ty, włąć, stary”. Boże, jak mi smutno, płakać się chce, jutro 23.08.79 roku. Jutro o godzinie 8.00 na pewno będzie 8.00. „Masz westchnąć”. „No to już”. „Jesteś cholernie ciekawą dziewczyną...”. „Nie, mam warkoczyki, brązową bluzkę, spódnicę w kwiatki, jestem normalna”

22.10 – Siedzę na ławce, patrzę w chodnik, leżą dwie zapalki, tylko dwie zapalki, stoją nade mną dwaj, jeden większy, drugi mniejszy, rozmawiają... dwa długie cienie i taka rozpacz, jeden cień dłuższy i głupszy... ptaki nie krzyczą, cisza, latarnia, brak kałuży, gdzie ma spaść latarnia, czy to ważne?

...Cisza, noc... nie ma dla mnie ratunku... a jeszcze rok temu miałam dziewiętnaście lat, dziewiętnaście lat...

23.08.79 r.

12.34 – Jestem w Abramowicach, siedzę na tej samej ławce, gorąco, bardzo gorąco. Idzie Zenek, tak, na pewno Zenek, nieuczesany, czy umyty, nie wiem, w zmiętej piżamie, w tych samych drewniakach i skarpetach, pali papierosa, zaręczam ci, nie tego, co wczoraj, spojrzał, czy on mnie widzi?, czy poznaje?, przecież wczoraj, tu, na tej samej ławce i wiem, to Zenek... nie, nic nie drgnęło mu w twarzy... „List do narzeczonego?” „Nie, pomyłka”

...Wiem już, co tu znalazłam: niezmiennność, powtarzalność, bezwyjątkowość

Dzisiaj jest 23.08.79 roku, nie pomyliłam się wczoraj, taki sam dzień, ten sam dzień... daleki warkot silnika, kroki, chrzęst żwiru, Zenek siedzi, trawa jest zielona i na domiar złego niewysoka, słońce, gorąco, trochę za gorąco, za plecami groszek, naprawdę czerwony, dzikie wino, na tej samej wysokości – te same zmięte szlafroki, rozrzucone włosy, krok, wysiłek, noga w górę, jeszcze tylko trochę, troszeczkę, parę centymetrów – drzewa nie są wyższe, tylko jakby lekko granatowe... i ból powyżej ręki, na styku bioder i ud

Obiad, idą w piżamach, przesuwają ciężar ciała z nogi na nogę, chyba im ciężko, niosą kolorowe, emaliowane wiadra, w nich ziemniaki, bigos, zapach, postny chleb, obiad, zwyczajny obiad. Gorąco, przeszły. „Co dzisiaj matura”. „Nic, już lepiej technikum jakieś”. Ma rację, jest

mała, grubsza, najgorsze, że ma rację... gorąco, brudno, groszek chyba czerwiejszy. „Jakie opalanie, dobre?”. „Tak, w spódnicy zwłaszcza”. „Rozebrać się”. „A po co?”. Bo i rzeczywiście po co?

Idą dwaj młodzi chłopcy, jeszcze chłopaczki, tornistry na plecach, uczniowskie ubranka, nie, to nie jest w porządku. Tak, to ta pani, niebieski sweter, nie, nie schłodziło, czy mi gorąco? zaraz, a gdzie Zenek? dlaczego ten dzieciak krzyczy? „Chciałbym z tobą posiedzieć, porozmawiać”. „Po co?”. Po co? idzie Zenek, niesie radio, śmieje się, spojrzał na mnie, śmieje się, czuję się głupio, ja, właśnie ja! on musi być w porządku, śmieje się, przeszedł, o, siedzi na drugiej ławce w cieniu, jak powiedzieć, że o 13.20 śmiał się do mnie, niechby wiedział, ponoć nigdy nie jest za późno, tylko na co? nieważne. Siedzę, opalam twarz, idą – kroki, patrzą – nie otwieram oczu, przeszli, już są w cieniu, schowało się słońce, chłodniej, znów słońce, gorąco, jednak za gorąco. „Ja to lubię wszystkiego spróbować w życiu”. „I co, wszystko smakuje?”. „Musisz jednak pójść do psychiatry”. „Nie, dlaczego?”. Gorąco, idzie kobieta w szlafroku, patrzy na mnie, na rower, znów na mnie, na rower, myślę sobie: zielony składak, to niemożliwe, żeby mnie widziała

Krzyczy puchacz, drzewa wpadają w granat, zwyczajny kolor, pachnie ziemią, mokrą trawą, słońce już niżej, 14.43, cień latarni kładzie się koło mnie, cień, faktycznie cień... „Jakiś idiota trąbi”. „Jakby był idiotą, to by nie był kierowcą”

17.50 – Podniosłam z chodnika podwójny bilet trolejbusowy, tylko z jednej strony skasowany. Ciepło, łagodnie, chce się żyć... Tej nocy powinnam się powiesić, tylko na czym? Już wiem gdzie, zielono, nieruchoma cisza, za dziesiątym zagonem, może nawet dalej biją dzwony, pszenica rośnie wzdłuż sumienia, cisza, trawa trochę wyższa, groszek na pewno czerwiejszy, wolniej chodzi człowiek w drelichu, ech, bzdura, już przyśpieszył... Sen dłuższy o tyle, o ile trawa wyższa. Boże, nie wiedziałam, jak może boleć ludzkie współczucie

24.08.79 r.

Ta sama ławka, puchacz krzyczy, słońce stoi nade mną i śmieje się, 24.08.79 roku, nie zaprzeczaj, jeszcze wiem, co mówię. Poszła jakaś z brzuchem, idzie mężczyzna, utyka na jedną nogę, dlaczego? przecież go nie boli. „I co?”. „Groszek kwitnie”. Że są w Abramowicach śliwki, tego już nie mogę zaakceptować. Przeszedł chłopak w pizamie, pochylony, z tyłu przedziałek, jasnowłosy... ptaki krzyczą, trawa nie kładzie się... Zbliży dwoje młodych, ona malowana, on jeszcze nie... ptaki krzyczą, groszek ciemnieje... on pocałował ją w policzek... rosa jeszcze nie spadła, ptaki głośniej krzyczą, krążą nad drzewami, dwaj pacjenci niosą nosze, idą powoli, nie patrzą, nie myślą, czekam, w każdej chwili spodziewam się, że opuszczą ręce, nic nie upadnie, krzyknie sowa i pójdą dalej, ale już z opuszczonymi rękami, jak należy

Zmarnować życie, co to znaczy zmarnować życie? Co ja bym teraz robiła, gdybym była za bramą? Nic, zupełnie